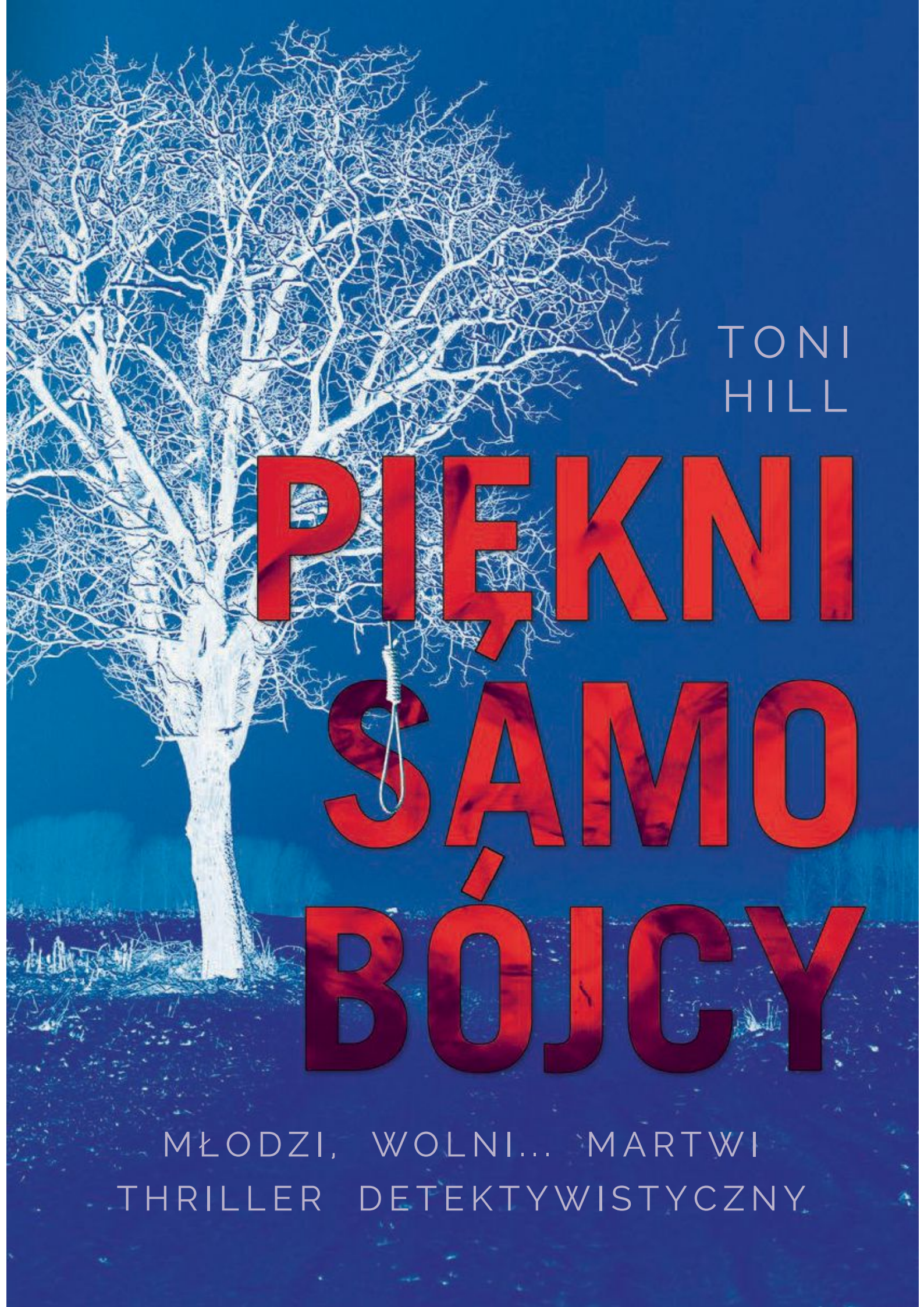




TONI
HILL

PIĘKNI SAMO BÓJCY

MŁODZI, WOLNI... MARTWI
THRILLER DETEKTYWISTYCZNY

O książce

Noc Trzech Króli. Na barcelońskiej stacji metra pod kołami pociągu ginie młoda kobieta, Sara Mahler. Wszystko wskazuje na samobójstwo, poza przesłanym na jej komórkę makabrycznym zdjęciem.

Cztery miesiące wcześniej Gaspar Ródenas zabija żonę i dziecko, a następnie strzałem z pistoletu pozbawia życia siebie. Nic nie zapowiadało tej tragedii. Sara i Gaspar razem pracowali. Przypadek? Nie można tego wykluczyć, ale kilka dni później inna pracownica tej samej firmy umiera po zażyciu środków nasennych.

Trzy samobójstwa? Bez wyraźnego motywu? Bez pozostawiania listów wyjaśniających powody?

Inspektor Salgado nie wierzy w taką wersję. By dojść do prawdy, będzie musiał się przedrzeć przez misternie utkaną pajęczynę kłamstw i rozbić mur zмовы milczenia.

TONI HILL

PIĘKNI SAMOBÓJCY

Z hiszpańskiego przełożyła
ELŻBIETA SOSNOWSKA

TONI HILL

Urodzony w Barcelonie pisarz, redaktor i tłumacz literacki, z wykształcenia psycholog. Całe życie zawodowe związany z branżą wydawniczą. Jego dorobek translatorski obejmuje przekłady na język hiszpański powieści takich autorów, jak: David Sedaris, Jonathan Safran Foer i Rabih Alameddine. Jest autorem trzech powieści kryminalnych: **Lato martwych zabawek** (przełożonej na 17 języków), **Pięknych samobójców** i **Kochanków z Hiroszimy**.

Tego autora

LATO MARTWYCH ZABAWEK
PIĘKNI SAMOBÓJCZY

Tytuł oryginału:
LOS BUENOS SUICIDAS

Copyright © Antonio Hill 2012
© Random House Mondadori S.A. 2012
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2015

Polish translation copyright © Elżbieta Sosnowska 2015

Redakcja: Monika Strzelczyk

Na okładce wykorzystano zdjęcie autorstwa: SplitShire

Projekt graficzny okładki: Aldona Sieradzka

ISBN 978-83-7985-167-6

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.
Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com



*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego.
Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę,
która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje,
że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom
lub w jakiegokolwiek inny sposób upowszechnianie,
kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych
lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Konwersja do formatu ...

...

...

Janowi, najmłodszemu członkowi rodziny

Prolog

Zwyczajna rodzina

Lola Martínez Rueda, „Głos innych”

Czwartek, 9 września 2010 roku

„To była taka dobrana para — mówią sąsiedzi. — Jego nieczęsto można było spotkać, ale kiedy się pojawiał, zawsze się grzecznie witał. Widać, że dobrze wychowany. Ona trzymała się trochę na dystans... Ale bardzo dbała o córeczkę, trzeba jej przyznać”. „Mieli śliczną córeczkę” — opowiada właścicielka kawiarni w pobliżu ich mieszkania w dzielnicy Clot w Barcelonie, w której kilka dni wcześniej, około godziny dziesiątej Gaspar Ródenas, jego żona Susana i ich półtoraroczna córeczka Alba jedli śniadanie. „Często przychodzili w weekendy” — dodaje. I nie czekając, aż zapytam, mówi mi, co zamawiali, on espresso, a ona kawę z mlekiem, i że dziewczynka była taka zabawna. Błahostki, naturalnie. Nieważne szczegóły i banalne komentarze, które teraz, w świetle tego, co się wydarzyło, budzą niepokój.

A oto, co się wydarzyło. Piątego września o świcie, gdy żona jeszcze spała, ten „nieśmiały, dobry” ojciec wstał z małżeńskiego łóża, poszedł do pokoju córeczki i przyłożywszy poduszkę do jej twarzy, przygniótł ją z całej siły. Nigdy się nie dowiemy, czy matka się obudziła, wiedzona być może owym szóstym zmysłem, który — odkąd świat istnieje — ostrzega i przerywa matczyzny sen. W każdym razie Gaspar

Ródenas, człowiek w opinii sąsiadów i kolegów „uprzejmy i dobrze wychowany”, nie zamierzał zostawić żony przy życiu. Susana zginęła chwilę później od strzału w serce. Potem, jak nakazuje kanon sprawców przemocy w rodzinie, Gaspar ostateczny cios zadał sobie.

Imiona Susany i jej córeczki powiększyły listę kobiet, ofiar tych, którzy, w teorii, mieli je kochać, szanować, a także, jeśli pomyślimy o dziecku, chronić. Od początku tego roku, 2010, czterdzieści cztery kobiety zginęły z rąk swoich życiowych partnerów. Jest ich teraz czterdzieści pięć i, co szczególnie zatrważa, dziecko tej ostatniej ofiary. Z pewnością ten przypadek odbiega od wzorca, jaki znamy: separacja w toku i doniesienia o znęcaniu się złożone na policji. Gaspar Ródenas, jak na ironię, nie był człowiekiem agresywnym.

Przynajmniej raz odpowiedzialne instytucje mogą śmiało twierdzić, iż nic nie wskazywało na to, że Susanie i Albie groziło niebezpieczeństwo. Tak rzeczywiście było... Ale to czyni ich śmierć tym bardziej przerażającą. Zwłaszcza że coraz więcej spośród nas, kobiet, wie, iż istnieją mechanizmy — zapewne jeszcze niewystarczające — którymi możemy się bronić przed brutalną siłą *machos*, wzrastających w wierze, że dane im jest prawo decydowania o naszym życiu i o naszej śmierci. Przed typami, którzy nie przebierają w słowach, okładają pięściami, gardzą nami. Ale nie wiemy, jak bronić się przed urazami nawarstwiającymi się w ciszy, przez lata, przed głęboko skrywaną nienawiścią, która nagle którejś nocy wybucha i niszczy cały dotychczasowy świat.

Zdjęcie zrobione kilka tygodni wcześniej pokazuje całą trójkę na plaży na Majorce. Alba siedzi na piasku, trzymając w rączce czerwoną łopatkę. Biała czapeczka chroni ją przed sierpniowym słońcem. Za nią klęczy Susana. Uśmiecha się do aparatu, jest szczęśliwa. Obok, otaczając ją ramieniem,

jej mąż. Kiedy patrzy się na nich zrelaksowanych, z oczami przymrużonymi od słońca, trudno uwierzyć, że miesiąc później ten sam mężczyzna tymi samymi dłońmi, którymi z czułością przygarnia Susanę, zabije ją i córkę.

Jak to się stało, że trzydziestosiedmioletni mężczyzna mający stałą, dobrze płatną pracę w znanej firmie kosmetycznej, bez obciążeń finansowych innych niż bieżące wydatki, nienotowany przez policję, dokonał zabójstw, które — głębiej niż inne takie sprawy — wstrząsnęły sumieniem każdego z nas? Kiedy w jego głowie powstała myśl, aby pozbawić życia żonę i córkę? W którym momencie ogarnięty szaleństwem stracił do tego stopnia poczucie rzeczywistości, że za jedyne możliwe rozwiązanie uznał śmierć?

Odpowiedź rodziny, przyjaciół, kolegów z pracy jest taka sama, mimo że nikt z nich nie jest już w stanie uwierzyć we własne słowa: Gaspar, Susana i Alba byli zwyczajną rodziną.

Héctor

1

Po raz drugi w ciągu ostatnich kilku minut inspektor Héctor Salgado odwraca nagle głowę przekonany, że ktoś go obserwuje, lecz widzi jedynie bezimienne, obojętne twarze osób jak on idących tłumną Gran Via, zatrzymujących się od czasu do czasu przed ustawionymi na chodniku stoiskami pełnymi zabawek i prezentów. Jest wieczór Trzech Króli, choć z pewnością nie wskazuje na to wyjątkowo wysoka temperatura. Niektórzy spacerowicze mają na sobie, jak nakazuje pora roku, ciepłe płaszcze, ten i ów nawet rękawiczki i czapkę, i z zadowoleniem biorą udział w tym zimowym spektaklu, w którym brakuje podstawowego elementu — zimna.

Królewska kawalkada przeszła już przez miasto i pod girlandy połyskujących świateł wraca normalny ruch uliczny. Ludzie, samochody, zapach wrzącej oliwy i smażonych w niej *churros*, wszystko to w oprawie na pozór radosnych kołęd, których słowa ocierają się o surrealizm i które bez litości atakują przechodniów z rozwieszonych na drzewach głośników. Najwyraźniej nikomu nie chce się komponować nowych utworów, więc i w tym roku trzeba wysłuchiwać tych samych oklepanych melodii. Może to najbardziej irytuje w świętowaniu Bożego Narodzenia, myśli Héctor; to, że

najogólniej rzecz biorąc, zawsze jest takie samo, podczas gdy my zmieniamy się i starzejemy. Wydaje mu się, że tworzenie bożonarodzeniowego nastroju, który bez wyjątku w niezmienionej formie powtarza się rok po roku i tym samym pokazuje rozkład naszych wartości, jest oznaką bezmyślności graniczącej z okrucieństwem. Ileż to razy w ostatnich dniach pragnął uciec od tej powszechnej wesołości do kraju buddystów albo tam, gdzie panuje głęboki ateizm. W przyszłym roku, powtarza jak mantrę. I niech sobie syn mówi, co chce.

Jest tak zaabsorbowany własnymi myślami, że nie zauważa, iż ludzie posuwający się przed nim równie powoli jak samochody nagle się zatrzymują. I Héctor też zatrzymuje się przed stoiskiem z plastikowymi żołnierzami w plastikowych torebkach: Indianie i kowboje, alianci zamaskowani w okopach w pozycji do strzału. Dawno ich nie widział, ale pamięta, że kiedyś kupił takie zabawki dla małego Guillerma. Sprzedawca, stary mężczyzna o artretycznych palcach, odtworzył na ladzie wspaniałą scenę bitewną tak szczegółowo, że mogłaby się znaleźć w jakimś wojennym filmie z lat pięćdziesiątych. Sprzedaje nie tylko to; po jednej stronie na półkach stoją klasyczne cynowe figurki, te większe w błyszczących czerwonych mundurach, a po drugiej, z zupełnie innej epoki, grupy rzymskich gladiatorów.

Mężczyzna daje mu znak, że może dotykać towaru, i Héctor, po to tylko, by nie sprawić mu przykrości, bierze do ręki małego żołnierzyka. Jest bardziej miękki, niż myślał, jakby pokryty ludzką skórą, i dotknięcie go wzbudza w nim odrzę. Nagle zdaje sobie sprawę, że muzyka umilkła. Przechodnie stoją nieruchomo. Reflektory samochodów zgasły i jedynym oświetleniem ulicy są migoczące coraz słabiej bożonarodzeniowe lampki. Héctor zamyka oczy i

zaraz je otwiera. Tłum wokół niego rzednie, postacie odchodzą, rozpływają się, nie zostawiając po sobie śladu. Tylko sprzedawca trwa na swoim stoisku. Z uśmiechem na pokrytej zmarszczkami twarzy wyciąga spod lady śnieżną szklaną kulę.

„To dla żony” — mówi. Héctor chce powiedzieć, że nie, że Ruth nie znosi takich kul, że boi się ich, tak jak pajaców, odkąd była mała. Płatki śniegu burzą się w kuli, opadają na dno i wtedy widzi siebie, stojącego przed stoiskiem z plastikowymi żołnierzami, schwytanego między szklane ściany.

— Tato. Tato...

Cholera.

Ekran telewizora pokryty szarą mgłą. Głos syna. Ból w karku — zasnął w najgorszej z możliwych pozycji. W noc Trzech Króli przyśnił mu się tak prawdziwy sen.

— Krzyczałeś.

Cholera. Kiedy własny syn budzi cię z koszmaru, nadchodzi moment porzucenia roli ojca, pomyślał Héctor, prostując się na kanapie. Wszystko go bolało i był w złym humorze.

— Zasnąłem. A ty co tu robisz o tej porze? — zaatakował, próbując odzyskać ojcowską godność i masując obolały kark.

Guillermo tylko wzruszył ramionami. Tak zrobiłaby Ruth. Tak reagowała wiele razy. Héctor machinalnie sięgnął po papierosa i zapalił go. Popielniczka była pełna niedopałków.

— Nie martw się, nie zasnę już. Idź spać. I pamiętaj, że jutro z samego rana wyjeżdżamy.

Syn kiwnął głową. Patrząc na niego, idącego boso do swojego pokoju, Héctor pomyślał, jak trudno jest mu być ojcem bez Ruth. Guillermo nie miał jeszcze piętnastu lat, ale czasem można było sądzić, że jest starszy. Z rysów twarzy przebijała przedwczesna powaga, a to sprawiało Héctorowi

wiekszy ból, niż był gotów przyznać. Zaciągnął się głęboko i automatycznym ruchem dotknął przycisku pilota. Nie pamiętał, jaki film włożył wieczorem do odtwarzacza. Ale już pierwszy kadr, czarno-białe ujęcie Jeana-Paula Belmonda i Jean Seberg, przypomniał mu tytuł. *Do utraty tchu*. Ulubiony film Ruth. Nie był w nastroju, żeby oglądać go jeszcze raz.

Mniej więcej dziesięć godzin wcześniej Héctor z odrobiną skrępowania spoglądał na białe ściany gabinetu psychologa, miejsca dobrze mu znanego. Jak zwykle młody terapeuta nie spieszył się z rozpoczęciem sesji, a Héctor nie potrafił powiedzieć, czy te minuty ciszy miały mu posłużyć do określenia, w jakim pacjent jest nastroju, czy po prostu należał do ludzi, którzy się powoli rozkręcają. W każdym razie tego ranka, sześć miesięcy po pierwszej wizycie, inspektor Salgado nie był w nastroju do czekania. Odchrząknął kilka razy, co chwila zakładał nogę na nogę, a w końcu pochylił się i zapytał:

— Czy moglibyśmy zacząć?

— Oczywiście. — Psycholog podniósł wzrok znad papierów, ale nic więcej nie powiedział.

Milczał, przyglądał się inspektorowi trochę nieprzytomnie; ze swoimi delikatnymi rysami twarzy sprawiał wrażenie cudownego dziecka, które rozwiązuje skomplikowane zadania w wieku sześciu lat, a nie potrafi kopnąć piłki i przy tym nie upaść. Wrażenie fałszywe, Héctor dobrze o tym wiedział. Młody człowiek rzadko strzelał, to prawda, ale mając doskonałe wyczucie czasu, strzelał celnie. Terapia, której inspektor musiał się poddać z polecenia szefa, przekształciła się w rutynowe spotkania; przychodził na nie z własnej woli, początkowo raz w tygodniu, potem co dwa tygodnie. Teraz nabrał głęboko powietrza do płuc i powiedział:

— Proszę wybaczyć. Dzień nie zaczął się dobrze. —

Wyprostował się na krześle i utkwiał wzrok w kącie gabinetu.
— I nie sędzę, żeby się lepiej skończył.

— Kłopoty w domu?

— Pan nie ma nastoletnich dzieci, prawda? — Pytanie absurdałne. Jego terapeuta musiałby zostać ojcem, mając piętnaście lat, żeby dochować się syna w wieku Guillerma. Pomyślał chwilę i zmęczonym głosem dodał: — Ale nie o to chodzi. Mój syn jest dobrym dzieckiem. Problemem jest chyba właśnie to, że nigdy nie sprawiał problemów.

Tak było rzeczywiście. I choć wielu rodziców cieszyłoby się z tak ewidentnych objawów posłuszeństwa, Héctor martwił się tym, o czym nic nie wiedział. To, co działo się w głowie syna, było jedną wielką tajemnicą. Nigdy się na nic nie skarżył, stopnie miał nie najgorsze, nigdy doskonałe, ale też nie najniższe, a jego poważny sposób bycia mógłby być wzorem dla bardziej szalonych, bardziej nieodpowiedzialnych chłopców. A jednak Héctor zauważał, raczej wyczuwał, że za tą normalnością kryje się smutek. Guillermo był zawsze spokojnym dzieckiem, a teraz w pełni wieku dojrzewania stał się introwertykiem, którego życie, kiedy nie był w szkole, toczyło się w czterech ścianach jego pokoju. Mówił mało. Nie miał wielu przyjaciół. Krótko mówiąc, pomyślał Héctor, niewiele się ode mnie różni.

— A pan, inspektorze, jak pan się czuje? Nadal nie może pan spać?

Héctor zawahał się. Na ten temat ich zdania się różniły. Był czas, że przez kilka miesięcy nie zmrużył oka nawet jednej nocy, i wtedy psycholog zalecił łagodne środki nasenne. Ale Héctor zdecydowanie odmówił. Trochę dlatego, że nie chciał się od nich uzależnić, trochę dlatego, że nad ranem jego mózg funkcjonował najlepiej i nie widział powodu, żeby pozbawiać się tych produktywnych godzin, i wreszcie dlatego, że śpiąc, zagłębiał się w obszary

nieokreślone, nie zawsze przyjemne.

Psycholog wyczuł przyczynę milczenia.

— Pan się niepotrzebnie zamęcza. I przy okazji bezwiednie zamęcza pan ludzi wokół siebie.

Inspektor podniósł głowę. Bardzo rzadko patrzyli sobie w oczy. Psycholog wytrzymał badawcze spojrzenie.

— Przecież pan wie, że mam rację. Kiedy zaczął pan terapię, zajęliśmy się zupełnie inną sprawą. Odłożyliśmy ją po tym, co się stało z pana byłą żoną. — Mówił głosem zdecydowanym, bez chwili wahania. — Zdaję sobie sprawę, że znajduje się pan w trudnej sytuacji, ale obsesyjne myśli do niczego pana nie doprowadzą.

— Sądzi pan, że to obsesja?

— A nie jest tak?

Héctor gorzko się uśmiechnął.

— Więc co pan proponuje? Żebym zapomniał o Ruth? Żebym pogodził się z myślą, że nigdy nie poznamy prawdy?

— Nie musi pan się z tym godzić. Wystarczy, żeby potrafił pan żyć z tą myślą i dzień w dzień nie buntował się przeciw wszystkiemu i wszystkim. Proszę posłuchać, zadam pytanie policjantowi: ilu przypadków nie udaje się szybko rozwiązać? Ile wyjaśnia się dopiero po wielu latach?

— Pan nie rozumie — odparł Héctor. Zamilkł i dopiero po chwili ciągnął: — Czasem... czasem udaje mi się zapomnieć... na parę godzin, kiedy pracuję albo kiedy idę pobiegać nad morzem, ale potem wszystko wraca. Pojawia się nagle. Jak duch. I wyczekuje. To nie jest nieprzyjemne uczucie: nie oskarża ani nie pyta, ale tam jest. I nie odchodzi łatwo.

— Czym jest to, co tam jest? — Pytanie zadane zostało takim samym chłodnym tonem, jakiego młody terapeuta zawsze używał w ich rozmowach. Tym razem jednak Héctor zauważył jakiś odcień, ślad czegoś, co bałby się usłyszeć.

— Niech się pan nie niepokoi. — Uśmiechnął się. — Nie widzę umarłych. Jest to rodzaj odczucia... — Przerwał, szukając właściwych słów. — Kiedy żyjesz z kimś przez wiele lat, zdarza się, że po prostu wiesz, że jest w domu. Budzisz się z drzemki i czujesz obecność tej drugiej osoby. Nie musisz jej widzieć. Rozumie pan? To mi się przedtem nie zdarzało. Chcę powiedzieć, że nie zdarzało się, kiedy już nie byliśmy razem. Dopiero po jej... zaginięciu.

Zaległa cisza. Przez chwilę żaden z nich się nie odzywał. Psycholog notował w swoim zeszycie coś, czego Héctor nie mógł dojrzeć. Czasem myślał, że to notowanie jest częścią teatralnego rytuału rozgrywającego się w gabinecie, symbolem służącym wyłącznie do tego, aby pacjent, to znaczy on, czuł, że jest wysłuchany. Już zamierzał dokładniej wyjaśnić, co ma na myśli, kiedy odezwał się terapeuta. Mówił powoli, starannie dobierając słowa.

— Czy zdaje pan sobie sprawę z jednej rzeczy, inspektorze? Po raz pierwszy przyznaje pan, nawet jeśli nie wprost, że Ruth może nie żyć.

— My, Argentyńczycy, wiemy doskonale, co oznacza słowo „zaginiony” — odparł Héctor. — Niech pan o tym nie zapomina. — Odchrząknął. — Jak dotąd nie mamy żadnego wystarczającego dowodu, że Ruth nie żyje. Ale...

— Ale pan już w to wierzy, prawda?

Héctor obejrzał się za siebie, jak gdyby obawiał się, że ktoś go usłyszy.

— Prawda jest taka, że nie mamy najmniejszego pojęcia, co się mogło stać z Ruth. To mnie najbardziej wpienia. — Zniżył głos, jakby mówił do siebie. — Nawet nie możesz jej opłakiwać, bo czujesz się jak zatracony zdrajca, który poddał się bez walki. — Westchnął. — Przepraszam, nie czułem się dobrze w święta. Myślałem, że będę miał czas, żeby popchnąć sprawę, ale... Musiałem zrezygnować. Nie mam nic. Nie

znalazłem niczego... Niech to szlag trafi! To tak, jakby ktoś jednym ruchem wymazał ją z rysunku, nie zostawił śladu.

— Sądziłem, że sprawa nie jest już w pana rękach.

Héctor uśmiechnął się.

— Mam ją w głowie.

— Proszę coś dla mnie zrobić. — Tak zawsze brzmiała zapowiedź końca sesji. — Od tej chwili do naszego następnego spotkania niech pan się skoncentruje, przynajmniej przez kilka minut, byle codziennie, na tym, co pan ma, co pan osiągnął. Dobre strony czy złe, ale to, co stanowi pana życie. A nie na tym, czego panu w życiu brakuje.

. . .

Dochodziła druga w nocy i Héctor wiedział, że nie zaśnie. Wziął papierosy i komórkę i wyszedł na taras na dachu. Przynajmniej nie obudzi Guillerma. Terapeuta nie mylił się w trzech sprawach. Po pierwsze, powinien zacząć brać te cholerne środki nasenne, nawet wbrew sobie. Po drugie, sprawa Ruth nie była w jego rękach. I po trzecie, w głębi duszy był przekonany, że Ruth nie żyje. Z jego winy.

Noc była piękna. W taką noc można pogodzić się ze światem, jeśli tylko da się sobie szansę. Héctor miał przed oczami widok na nadbrzeże, a w połyskujących światłach budynków i w mrocznej, lecz spokojnej powierzchni morza odnalazł coś, co przepędziło nękające go demony. Stojąc tam pomiędzy donicami z suchymi kikutami roślin, inspektor Salgado zadał sobie pytanie: co przyniosło mu życie?

Syna, Guillerma. Pracę inspektora policji, żmudną i jednocześnie frustrującą. Mózg, który chyba funkcjonował jak należy, i płuca na pewno czarne od nikotyny. Carmen, sąsiadkę i właścicielkę domu, w którym mieszkał, swoją barcelońską matkę, jak o sobie mówiła. Ten taras, z którego mógł widzieć morze. Upierdliwego terapeutę, zmuszającego

go do myślenia o bzdetach o trzeciej nad ranem. Niewiele przyjaciół, ale za to wypróbowanych. Olbrzymią kolekcję filmów. Ciało zdolne przebiec sześć kilometrów trzy razy w tygodniu mimo zrujnowanych paleniem płuc. Co jeszcze otrzymał od życia? Koszmarne sny. Wspomnienie Ruth. Pustkę bez Ruth. Nie wiedząc, co się z nią stało, sprzeniewierzał się wszystkiemu, co miało dla niego wagę: dawnym obietnicom, synowi, a nawet pracy. Temu wynajmowanemu mieszkaniu, gdzie razem żyli, kochali się i kłócili; mieszkaniu, z którego odeszła, by rozpocząć nowe życie, w którym on odgrywał drugoplanową rolę. Mimo to kochała go. Nadal się kochali, choć w inny sposób. Ich związek był zbyt silny, aby można go było zerwać na zawsze. Uczył się żyć z tym wszystkim, kiedy Ruth zaginęła, zniknęła, zostawiając go z poczuciem winy, przeciwko któremu się burzył.

Dosyć, pomyślał. To bez sensu. Zupełnie jakbym był postacią z francuskiego filmu: zadowolony z siebie czterdziestolatek. Miernota. Jeden z tych, którzy przez dziesięć minut taśmy wpatrują się w morze z urwistego szczytu, dręczeni egzystencjalnymi pytaniami, a za chwilę zakochują się jak głupi w kształtnych łydkach jakiejś nastolatki. Jakby idąc tym wątkiem, Héctor przypomniał sobie ostatnią rozmowę, raczej kłótnię z koleżanką w pracy, podinspektor Martiną Andreu, tuż przed świętami. Powód kłótni nie miał znaczenia, ale żadne z nich nie potrafiło jej zakończyć. Do czasu, kiedy Martina, spojrzawszy na niego z urągliwą szczerością, wypaliła prosto z mostu: „Héctor, kiedy ostatnio przeleciałeś kobietę?”.

Zanim mógł przywołać w myślach swoją godną pożalowania odpowiedź, zadzwonił telefon.

2

Niebieskie światła reflektorów wozu patrolowego penetrowały plac Urquinaona ku zadziwieniu czterech podpitych żebraków, którym drewniane ławki od dawna służyły za materace i którym tej nocy nie dano możliwości zaśnięcia.

Héctor pokazał swoją plakietkę i zszedł po schodach do metra, nie mogąc opanować uczucia niepokoju. Samobójców, którzy wybierali takie miejsce do wykonania skoku jaskółki, było dużo więcej, niż wskazywały na to doniesienia w prasie czy dane statystyczne, lecz nie tylu, o ilu opowiadały miejskie legendy. Z niektórych można było się nawet dowiedzieć o istnieniu „czarnych stacji” i peronów, gdzie nieproporcjonalnie więcej ludzi niż na innych decydowało się zakończyć życie. W każdym razie, aby uniknąć tego, co określano „efektem przyciągania”, przypadki takie nie były podawane do wiadomości publicznej. Opierając się na intuicji, Héctor skłonny był sądzić, że takie samobójstwa są skutkiem chwili rozpacz, nie zaś podjętą wcześniej decyzją. Brzeg peronu, możliwość pozbycia się problemów, robiąc tylko jeden krok — przerażający moment, od którego nie ma odwrotu — stawały się silniejsze od strachu przed potwornym bólem, od wizji rozszarpanego własnego ciała.

Sposób postępowania policji w takich wypadkach charakteryzowała szybkość: błyskawiczne usunięcie ciała i przywrócenie funkcjonowania metra. Teraz jednak, biorąc pod uwagę bardzo wczesną porę, ekipa miała więcej czasu i wstrzymanie ruchu można było wytłumaczyć drobnym uszkodzeniem wagonu czy awarią sieci. Dlatego zdziwiło go, że pełniący tej nocy służbę agent Roger Fort zadał sobie trud zadzwonienia do niego i poinformowania o tym, co się stało.

I właśnie Roger Fort spoglądał wyczekująco, podczas gdy inspektor Salgado schodził ze schodów prowadzących na peron.

— Inspektorze. Cieszę się, że pan przyszedł. Mam nadzieję, że pana nie obudziłem.

Héctor cenił sobie pełną szacunku oficjalność agenta, z drugiej jednak strony budziła w nim podejrzenia. W każdym razie Fort był dość nieoczekiwanym zastępstwem na miejsce młodej, zdecydowanej i rezolutnej Leire Castro. Héctor nie miał wątpliwości, że ostatnią rzeczą, jaka wpadłaby jej do głowy w takiej sytuacji, byłoby odwoływanie się do wyższej instancji; z pewnością uznałaby, że sama sobie doskonale poradzi. To było jedyne zastrzeżenie, jakie Héctor miał do jej pracy: Leire nie potrafiła czekać, aż inni wyciągną wnioski, uprzedzała ich i podejmowała działania na własną rękę, bez odwoływania się do kogokolwiek. Taka cecha bardzo rzadko zdobywała uznanie w pracy, gdzie porządek i dyscyplina są synonimami skuteczności.

Ale, ku swemu niezadowoleniu, Leire Castro miała zwolnienie lekarskie z powodu ciąży i komisarz Savall dołączył do ekipy agenta niedawno przeniesionego z Lleidy. Ciemnowłosy, z wiecznie widocznym cieniem zarostu mimo codziennego golenia, był średniego wzrostu i miał posturę gracza w rugby; nazwisko pasowało do niego jak ulał. Podobnie jak Leire nie miał jeszcze trzydziestu lat. Obydwoje

stanowili nową generację agentów śledczych, którzy wypełniali ostatnio szeregi Policji Katalońskiej, a którzy, zdaniem Héctora, byli zdecydowanie za młodzi. Może dlatego, że sam mając czterdzieści trzy lata, czuł się czasem jak siedemdziesięcioletni starzec.

— Nie, nie obudziłeś mnie. Ale nie jestem pewien, czy twój telefon mnie ucieszył.

Fort, nieco zakłopotany, zaczerwienił się.

— Zwłoki są już przykryte i przystąpiono do ich usuwania, zgodnie z...

— Chwileczkę. — Héctor nie znosił oficjalnego żargonu, za którym kryli się ludzie niekompetentni, kiedy nie wiedzieli, co mają powiedzieć. Powtórzył słowa, które sam usłyszał na początku swojej zawodowej drogi. Wówczas to zdanie zabrzmiało absurdalnie, ale teraz, po latach, nabrało znaczenia. — To nie jest sobotni serial kryminalny. „Zwłoki” są ciągle kimś, ciałem.

Fort zaczerwienił się jeszcze bardziej.

— Przepraszam. Tak, to jest kobieta. Trzydzieści do czterdziestu lat. Szukamy jej torebki.

— Rzuciła się na tory z torebką?

Agent nie odpowiedział; trzymał się swojego scenariusza.

— Chciałbym, żeby pan obejrzał zdjęcia. Kamery w metrze zapisały część wydarzenia.

Z peronu dochodziły hałasy i podniesione głosy. Coś się tam działo.

— Kto tam jest?

— Dwóch chłopaków. Są z nimi ludzie z patrolu.

— Chłopcy? — Salgado uzbroił się w cierpliwość, lecz jego ton świadczył o tym, że jest niezadowolony. — Nie powiedziałaś przez telefon, że samobójstwo miało miejsce przed drugą? Mieliście chyba aż nadto czasu, żeby wziąć od nich zeznania i odesłać do domu.

— Tak zrobiliśmy. Ale oni wrócili.

Zanim Roger Fort zdołał wyjaśnić sytuację, podszedł do nich ochroniarz, mężczyzna w średnim wieku, z podkrążonymi oczami i zmęczoną twarzą.

— Panie agencie, czy chcecie teraz obejrzeć taśmy, czy wolicie je zabrać?

W podtekście: „Pozwolicie mi, do cholery, skończyć służbę?” — pomyślał Héctor. Agent Fort już otwierał usta, ale ubiegł go inspektor.

— Chodźmy — zdecydował, nie patrząc na podwładnego. — Później mi powiesz o tych chłopcach, Fort.

Kabina, w której rejestrowano, co dzieje się na peronach, była mała i unosił się w niej duszący zapach, mieszanina potu i podziemnej ciasnoty.

— Proszę — powiedział ochroniarz. — Ale niech pan niczego nadzwyczajnego nie oczekuje.

Héctor przyjrzał mu się. Albo ludzie stworzeni są do wykonywania jakiejś pracy, albo praca tak kształtuje tych, którzy ją wykonują, że powstaje pomiędzy nimi rodzaj symbiozy. Ten człowiek z wymizerowaną twarzą i nieświeżym oddechem, powolnymi ruchami i bezbarwnym głosem wydawał się doskonałym wyborem do spędzania w tym miejscu ośmiu albo więcej godzin dziennie i obserwowania skrawka podziemnego życia na ekranie o słabej rozdzielczości.

Kamera obejmowała peron od punktu, w którym pociąg wjeżdżał na stację, i Héctor, Fort oraz ochroniarz obserwowali teraz w milczeniu przybycie metra o pierwszej czterdzieści dziewięć. Inspektorowi przypomniawsen: może to przez rozmyty szarawy kolor ekranu osoby czekające na peronie sprawiały wrażenie sylwetek z zamazanymi twarzami, poruszających się jak miejskie upiory. W momencie gdy sygnał ogłaszał odjazd metra, kilku chłopaków w szerokich

dżinsach, bluzach sportowych i wełnianych czapkach wpadło na peron i widząc, że pociąg im ucieka, waliło pięściami w zamknięte już drzwi. Zachowanie równie głupie, co nieskuteczne. Jeden z nich wykonał wymowny gest przed kamerą, kiedy wagony znikwały w tunelu.

— Musieli czekać sześć minut, bo... — zaczął ochroniarz, tym razem z satysfakcją w głosie.

— O, teraz idzie, inspektorze — przerwał mu agent Fort.

Rzeczywiście, z drugiej strony na peron weszła kobieta. Trudno było stwierdzić, czy jest wysoka, czy niska. Brunetka, w czarnym płaszczu, trzymała coś w ręce. Znajdowała się tak daleko od kamery, że nie widać było twarzy. Z powodu odległości, a także dlatego, że kilka razy odwracała głowę w stronę wejścia na peron.

— Widzi pan, inspektorze? Ciągłe się ogląda za siebie. Jak gdyby ktoś za nią szedł.

Héctor milczał. Wpatrywał się w ekran. W kobietę, której według zegara odliczającego czas do następnego pociągu metra pozostało mniej niż trzy minuty życia.

Stała z dala od torów, bokiem do kamery. Na pierwszym planie dwóch z czwórki młodych chłopaków usiadło, raczej rozłożyło się na ławkach. Inspektor zauważył, że jest wśród nich dziewczyna. Wcześniej jej nie widział. Czarne, bardzo krótkie spodenki, bardzo wysokie obcasy, biały anorak. Jeden z chłopaków usiłował objąć ją w pasie, a ona — z jakiegoś powodu wściekła — powiedziała coś, co wywołało śmiech pozostałych. Chłopak odwrócił się do nich, odgrając się, ale oni nadal się z niego śmiali.

Héctor nie spuszczał wzroku z kobiety. Widać było, że czuje się nieswojo. Zrobiła ruch, jak gdyby chciała iść w ich stronę, ale usłyszawszy śmiech, zatrzymała się i mocno zacisnęła rękę na torebce. Nikt inny nie wszedł na peron, lecz ona ciągle oglądała się za siebie. Może po to, żeby nie

zwracać uwagi na grupę chłopaków pochodzących, sądząc po zachowaniu i wyglądzie, z Ameryki Łacińskiej. Po chwili spojrzała na przedmiot trzymany w ręce, zrobiła dwa kroki do przodu i stanęła na żółtej linii wyznaczającej strefę bezpieczeństwa, tak jakby chciała zyskać kilka sekund, być bliżej, gdy nadjedzie pociąg.

— Patrzyła na swoją komórkę — powiedział Fort.

I wtedy wszystko nastąpiło równocześnie. Chłopcy ruszyli w podskokach i zasłonili ekran w momencie, gdy pociąg wjeżdżał na stację.

— Musiała akurat wtedy skoczyć — powiedział ochroniarz. Na ekranie wagony zatrzymywały się, drzwi się otwierały i peron wypełnił się ciekawskimi. — Ale nic nie widać przez tych Latynosów. To maszynista podniósł alarm. Biedny facet.

Ciekawe, pomyślał Héctor, większy żal wzbudza maszynista niż samobójczyni. Tak jakby tym ostatnim aktem pokazała, że nikt nie będzie się już z nią liczyć.

— Czy nie macie tu kamery, która pokazuje peron pod innym kątem? — spytał.

Ochroniarz pokręcił głową, po czym dodał:

— Kilka kontroluje obrotowe przejścia, żeby ludzie nie wchodzili bez biletów, ale w tym czasie nie było nikogo.

— W porządku. To już obejrzelśmy — rzucił inspektor. Gdyby Fort znał go lepiej, wiedziałby, że ostry ton zapowiada burzę. — Zabieramy nagranie, a pan może zamknąć wszystko i iść do domu.

Ochroniarz nie protestował.

— Na litość boską, Fort, chyba nie ściągnąłeś mnie o takiej porze, żebym obejrzał nagranie, na którym nic nie widać — powiedział cicho Héctor, kiedy obaj szli w kierunku peronu. Agent został mu przydzielony zaledwie dwa tygodnie wcześniej, więc inspektor starał się wyrazić niezadowolenie

w możliwie uprzejmy sposób. Zaczepnął powietrza. Nie chciał uchodzić za twardziela, a o takiej godzinie łatwo dać się ponieść. Na dodatek agent miał tak skruszoną minę, że Héctorowi zrobiło się go żal. — Nieważne — dodał — później porozmawiamy spokojnie. A skoro już tu jestem, zajmijmy się tymi chłopcami.

Przyspieszył kroku, nie dając Fortowi szansy powiedzenia czegokolwiek.

Chłopcy, było ich tylko dwóch, siedzieli na tej samej ławce, na której widział ich na taśmie. Już się nie śmieją, pomyślał, patrząc na ich nieruchome sylwetki. Bał się skończył. Podchodząc do nich, starał się nie widzieć czarnych plastikowych worków rozłożonych na torach. Odwrócił się do agenta.

— Sprawdź, czy już skończyli, i niech wyniosą ciało.

W słabym świetle stacji chłopcy wyglądali niechlujnie. Przed nimi stało dwóch umundurowanych policjantów. Rozmawiali o czymś, niby-niezainteresowani, ale nie spuszczaali z nich wzroku. Gdy inspektor podszedł, zasalutowali i cofnęli się kilka kroków. Teraz stał przed chłopcami, patrząc na nich badawczo. Dominikańscy, niemal na pewno. Jeden z nich mógł mieć osiemnaście, dziewiętnaście lat; drugi, uderzająco podobny, musiał być młodszym bratem, młodszym od Guillerma. Trzyznaście, góra czternaście lat, uznał Héctor.

— No, chłopaki, jest późno i wszyscy chcemy jak najszybciej skończyć. Jestem inspektor Salgado. Podacie mi swoje nazwiska, opowiecie, co widzieliście, i wytłumaczycie, po co wróciliście — dodał, przypominawszy sobie, co powiedział mu agent Fort. — A potem pójdziemy spać. Zgoda?

— Nic nie widzieliśmy — wyrwał się młodszy, patrząc z niechęcią na brata. — Byliśmy na imprezie i wracaliśmy do

domu z Portu Olimpijskiego. Mieliśmy się przesiąść z żółtej linii na czerwoną, ale metro nam uciekło. Niewiele brakowało, żebyśmy zdążyli.

— Nazwisko?

— Jorge Ribera. A to mój brat, Nelson.

— Nelsonie, ty też nie zwróciłeś uwagi na tę kobietę?

Starszy chłopak miał czarne jak węgiel oczy, twardy, nieufny wyraz twarzy. Wydawał się nieporuszony, obojętny.

— Nie, proszę pana. — Patrzył w jakiś punkt przed sobą. Jego głos zabrzmiał gniewnie.

— Ale widzieliście ją?

Młodszy roześmiał się.

— Nelson ma oczy tylko dla swojej dziewczyny. Chociaż ona go zwymyślała...

A więc to on zirytował dziewczynę w białym anoraku, pomyślał inspektor. Nelson rzucił bratu mordercze spojrzenie. Nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia, widocznie był przyzwyczajony.

— No dobrze. Był ktoś jeszcze na peronie? — Héctor wiedział, że nie, ale zawsze istniało prawdopodobieństwo, że spóźniony pasażer wpadł w ostatniej chwili. Lecz obaj chłopcy tylko wzruszyli ramionami. Bardziej interesowała ich sprzeczka Nelsona z dziewczyną. — Co się stało później?

— Wyrzucili nas z metra, więc popędziliśmy złapać nocny autobus. Byliśmy już na przystanku i Nelson kazał mi wrócić.

Brat szturchnął go łokciem i Jorge opuścił głowę. Całe poczucie pewności nagle znikło.

— No, mów. — Nelson podniósł głos, ale Jorge tylko spojrzał w drugą stronę. — Może chcesz, żebym ja powiedział?

Młodszy brat prychnął gniewnie.

— Kurczę, zauważyłem to na peronie. Zanim drzwi się

otworzyły. Bo metro nagle się zatrzymało, nie wjechały wszystkie wagony. Wtedy zobaczyłem, że coś leży na ziemi. Podniosłem tak, żeby nikt nie widział.

— Co to było?

— Telefon komórkowy, inspektorze — odparł Roger Fort, który nadszedł, wypełniwszy polecenia przełożonego. — Nowiutki iPhone. Ten.

Jorge z mieszaniną złości i pożądania spojrzał na plastikową torebkę w ręku Forta.

— Zmusiłeś brata, żeby wrócił oddać telefon? — Zdumionemu Héctorowi pytanie wyrwało się bezwiednie.

— Ribierowie nie kradną — odparł Nelson poważnym głosem. — Poza tym są rzeczy, o których lepiej nie wiedzieć.

Jorge wywrócił oczami, jak ktoś, kto ma po dziurki w nosie wysłuchiwanie głupot. Héctor to zauważył i mrugnawszy do starszego brata, zwrócił się do młodszego bardzo groźnym tonem:

— W porządku, młodzieńcze. Ty i ja pójdziemy teraz na komisariat. Agencje Fort, proszę go odprowadzić.

— Ale ja nic nie zrobiłem! Nie może pan...

— Kradzież, niszczenie śladów na miejscu wypadku. Opór władzy, co dodaję już teraz, bo na pewno będziesz się opierał. I... Ile masz lat? Trzydzieści? Jestem przekonany, że sądowi dla nieletnich nie spodoba się to, że taki mały chłopak włóczy się nocami po „imprezach”, jak je nazywasz.

Jorge wyglądał na tak wystraszonego, że Héctor się powstrzymał.

— Chyba że... Chyba że twój brat, który wydaje się rozsądnym człowiekiem, zapewni mnie, że się tobą zaopiekuje. A ty obiecasz, że będziesz go słuchał.

Jorge kiwał głową z takim zapałem, jak mały pasterz na łące przed cudownym objawieniem. Nelson objął go ramieniem i ponad głową chłopca mrugnął do inspektora.

— Już ja się nim na pewno zajmę, proszę pana.

. . .

Stacja opustoszała. Byli tam tylko inspektor, Fort i dwie sprzątaczkę, które przeżegnawszy się, zabrały się do roboty, szybko zapominając, że jest to miejsce tragicznej śmierci. Świat musi się dalej kręcić, pomyślał Héctor, wbrew woli powtarzając wytarty banał. Jednak przerażające wydawało się to, że życie naprawdę potoczy się jak co dzień. Za kilka godzin linia metra otworzy się dla ruchu, perony wypełnią się ludźmi. A po tej kobiecie zostaną porzucane części ciała, zebrane do czarnych plastikowych worków.

— Znaleźliśmy torebkę, inspektorze — powiedział Fort.

— Kobieta nazywała się Sara Mahler.

— Cudzoziemka?

— Urodzona w Austrii, według paszportu. Ale mieszkała tutaj, nie była turystką. W portfelu jest karta zegarowa, do odbijania w pracy. Pracowała w jakimś laboratorium. „Laboratorium Alemany” — przeczytał.

— Trzeba będzie skontaktować się z rodziną, chociaż to może poczekać. Wróć do komisariatu i najpierw wypełnij raport. Potem zacznij lokalizować rodzinę. I nie dzwoń do nich za wcześnie. Zostawmy im jeszcze jedną przespaną noc.

Héctor był wykończony. Powieki ciążyły mu i nawet nie miał już ochoty robić afery o to, że Fort go tu ściągnął. Chciał wrócić do domu, położyć się i spać snem spokojnym, bez koszmarów. Spróbuje jednego z tych środków usypiających, chociaż samo słowo „usypiający” w połączeniu z tym, co tu zobaczył, wywołało obraz śmierci, niebolesnej, lecz mimo wszystko śmierci.

— Chciałbym panu coś pokazać.

— Proszę bardzo. Daję ci pięć minut. — Przypomniało mu się, że za kilka godzin ma wyjechać w podróż z synem

i że tabletki nasenne będzie musiał zostawić na inną okazję. — Ani jednej więcej. — Usiadł na ławce i wyciągnął papierosa. — Jeśli powiesz komuś, że tu paliłem, napiszę w raporcie o twoim poważnym wykroczeniu.

Fort chyba nawet nie usłyszał. Podał inspektorowi telefon, mówiąc:

— Jest tylko jedna wiadomość. Dziwne jest to, że nie ma żadnych kontaktów ani rozmów. Musiała to czytać na peronie, zanim...

Héctor spojrzał na ekranik. Wiadomość składała się z dwóch słów napisanych wielkimi literami, do których dołączone było zdjęcie.

NIE ZAPOMNIJ

Kiedy otworzył załącznik ze zdjęciem, zrozumiał, dlaczego Fort go wezwał i dlaczego młody Dominikańczyk przywlókł brata za ucho, żeby oddał telefon.

Pierwszą myślą było, że są to latawce zaplątane w koronie drzewa. Potem, kiedy powiększył zdjęcie i przyjrzał się szczegółom, wiedział, że nie. Drzewo tam było, potężne, z grubymi konarami. Lecz tym, co z niego zwisało — trzy kształty na sznurach — były zwierzęta. Trzy sztywne ciała powieszonych na gałęziach psów.